

Jaka władza, taka opozycja

12 czerwca 2008

Wygląda na to, że historia Polski nie zakończy się na Platformie.

Media, które do niedawna uwielbiały rząd Tuska, coraz śміielej go prześmiewają. Barometr nastrojów w kręgach – jeśli można się tak wyrazić – lumpen-establismentu, tygodnik „Wprost”, klasycznym dla siebie fotomontażem z okładki wykrywa podobieństwo premiera do Jasia Fasoli. Inna sprawa, że w tych kpinach i karykaturach odzywa się pretensja, że opłaty za publiczną radiofonię i telewizję ciągle jeszcze są, lecz za to czesnego i oficjalnych honorariów od pacjentów dla lekarzy wciąż nie ma.

Prędzej czy później, opozycja ze skrzydła prawicowego lub lewicowego dojdzie zatem do głosu. Kto wie jednak, czy nie stałoby się lepiej, gdybyśmy tego jakimś cudem uniknęli. Wisielczy nastrój, dyktujący takie oceny, wywołują dwie wybrane dość przypadkowo próbki opozycyjnej myśli politycznej.

Pokłosiem tzw. Parady Schumana, która – chyba niespecjalnie rzucając się w oczy – przewędrowała w maju po Warszawie, stał się manifest grupy lewicowych liderów opiniotwórczych. Prócz okazów folkloru w rodzaju klubów racjonalistów, humanistów i – do kompletu – gnostyków, podpisali go przedstawiciele Nowego Nurtu, który ożywiał i przesuwiał na lewo koalicję LiD, póki ta się nie rozsypała, jak również „Krytyki Politycznej”. Manifestanci tak uliczni, jak teoretyczni narzekają, iż zaledwie po kilku latach od naszej akcesji do Unii „sens i zadania” naszego członkostwa w tej federacji „zostały gruntownie zafałszowane”. Powód? Otóż Polska – nie inaczej niż wszystkie pewnie państwa UE – w trakcie brukselskich narad, posiedzeń i głosowań korzysta sporadycznie z prawa weta, jak również ze sposobności do nieformalnych gróźb zablokowania czy odwleczenia przygotowanych decyzji. Takie awanturnictwo trąci

prawicowością, ksenofobią, o ile nie czymś jeszcze gorszym.

A zatem lewicowe mózgi od kontynentalnej wielkiej polityki życzą sobie, żeby Polska zrezygnowała z normalnych instrumentów gry o swoje interesy i wpływy w ramach ponadnarodowych struktur, do których należy. Co proponują w zamian? Rzecz jasna, „silną”, „naprawdę zjednoczoną” i „demokratyczną” Europę, odmienianą przez wszystkie przypadki. Kłopot w tym, iż taki twór istnieje jedynie na papierze, który ich gremium pracowicie zapisuje. Wszelkie procesy zjednoczeniowe – Europa nie stanowi tu wyjątku – następują albo wobec wroga, albo też w imię dostatecznie ważnego celu.

Co do pierwszego. Blok radziecki, który usiłował rywalizować z kapitalistyczną Europą, od dawna nie istnieje. Toczy się natomiast konkurencja gospodarcza pomiędzy przeciwnymi brzegami Atlantyku. Lecz, skoro jej podłoże stanowią niemal identyczne i tu, i tam wzory ustroju politycznego, kultury symbolicznej oraz – jeśli pominąć szczątki zachodnioeuropejskiego „socjału” – gospodarki, nie spowoduje ona utworzenia się zjednoczonego frontu antyamerykańskiego na Starym Kontynencie. Odmienne wrażenie można było odnieść w krótkim okresie, gdy Europejczycy przestraszyli się zamachów i wzrostu cen ropy naftowej, którymi zagrażała im, rozpętana niefrasobliwie przez odchodzącego właśnie lokatora Białego Domu, wojna z terroryzmem. I wtedy jednak w Paryżu czy w Berlinie obserwowało się więcej konferencji prasowych niż działań. A Londyn i Madryt wołały popierać Amerykę nawet z niezbyt obliczalną i jeszcze mniej estetyczną ekipą przywódczą.

Gdy idzie natomiast o wielkokalibrowy cel, to pościgu za nim nie zaakceptują pracownicy i podatnicy, którzy od czasu do czasu bronią swej pozycji zawodowej i stanu konta przy użyciu kartki wyborczej. Dowiodły tego referenda we Francji i Holandii, w których padł europejski traktat konstytucyjny. W szczególności, sympatia „starej Europy” do świeżo zaakceptowanych krajów członkowskich kończy się na granicy,

poza którą z pochodzącymi stamtąd imigrantami trzeba byłoby się podzielić nieźle płatnymi miejscami pracy. Aktywna polityka brukselskiego centrum na rzecz wyrównania pułapów rozwoju po obu stronach łaby tym bardziej jest marzeniem ściętej głowy.

Wyobraźmy sobie, że na miejsce obecnej Unii powstaje zjednoczona państwowość pankontynentalna. W takim wypadku, istniejące dzisiaj Niemcy, Włochy, Francja czy Hiszpania nadal prowadziłyby walkę o swoją, możliwie największą część ogólnej puli. Tyle, iż działałoby się to pod firmą już nie państw narodowych, tylko – dajmy na to – regionów, małych ojczyzn bądź marchii. Tak już przecież politykowano w zintegrowanej Europie, którą przez stulecia tworzyło Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego.

Tymczasem, sygnatariusze lewicowego apelu obiecują wszystkim – alterglobalistom, feministkom, humanistom (ciekawe, czy również gnostykom?), jak również zagrożonym przez wielkie korporacje pracownikom najemnym i konsumentom – że ich problemy rozwiąże integracja europejska, byle tylko dość głęboka i totalna. Wierzą w to? A może szukają listka figowego dla swojego wyboru, zgodnie z którym – zamiast, jak na obywateli normalnego kraju europejskiego przystało, być rzecznikami Polski w Unii – są, na odwrót, funkcjonującymi u nas ambasadorami unijnych urzędów, fundacji i ośrodków wpływu propagandowego.

Spokojna głowa! O naszą suwerenność troszczy się nie byle kto: prezes głównej formacji opozycyjnej. Na konferencji w Toruniu – doniósł rozradowany dyskutant z Forum Frondy – Jarosław Kaczyński ostrzegał przed „agresywną polityką Wschodu” oraz „uległością”, jaką wobec niej zdradza gabinet Tuska. Ubolewał również nad „zachłyśnięciem się socjalizmem” przez państwa Europy Zachodniej. Czy przywódca PiS kieruje wzrok na zachód od łaby, podnosząc go znad UPR-owskiego „Najwyższego Czasu”? To pewne, iż troska o niepodległy byt kraju wyraża się u niego w totalnie anachronicznej formule intelektualnej. Nic więc

dziwnego, że nie kłóci się ona ze zdecydowanie przesadnym – nawet biorąc pod uwagę wymagania układów sojuszniczych i „Realpolitik” – wkładem Polski do zakładania proamerykańskich marionetkowych państewek na terytorium dawnego ZSRR (jak ostatnio w Gruzji).

Zagadka: czy autorzy-twórcy powyższych rewelacji faktycznie rozumieją tak mało z bieżącej rzeczywistości? Czy też świadomie uprawiają opozycję wobec forsowanej przez Platformę selektywnej europeizacji dla uprzywilejowanych (vide: program czternastu metropolii) tak, by jej poważnie nie zaszkodzić i dzięki temu móc czerpać z niej profity?

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)